



INV

HERMIA STONE

JULY



Dla wszystkich Małych Kobietek – ponieważ zasługujecie na własną gwiazdę. Czy to będzie gwiazdka z nieba, gwiazda rocka, czy gwiazda przy Hollywood Boulevard, wybór zawsze należy do Was.

ROZDZIAŁ 1

SCHIZOPHRENIC CONVERSATIONS

John.

Był światłem jej życia. Może nie od zawsze, ale od wielu lat trwał przy niej. Człowiek, któremu nigdy nie trzeba było nic powtarzać dwa razy. Zawsze pojawiał się dokładnie wtedy, gdy był potrzebny, i znikał, kiedy nie chciała widzieć nikogo – nawet jego. Zdawał się tak samo prawdziwy, jak koleżanki z pracy, ciemność powoli zapadająca za oknem czy lodówka, w której nigdy nie było nic słodkiego właśnie wtedy, kiedy miała na to ochotę.

Mogłaby zaryzykować stwierdzenie, że był dla niej najważniejszy na całym świecie, ponieważ tworzył wokół siebie pole, w którym mogła ukryć się przed całym światem właśnie. Niezależnie od sytuacji zawsze zjawiał się we właściwym miejscu i we właściwym czasie. Nawet we właściwych miejscach i czasach, jeśli mogła to tak ująć.

Dla niego zawsze była doskonała. Niezwykła. Jedyna i na zawsze.

– Udawaj, że jestem wspaniała – prosiła, kiedy wracała po ciężkim dniu i wtulała się w wytarty kąt kanapy. A on

przysiadł na odwróconym tyłem do przodu krzesła, opierał brodę o wysokie oparcie i mruczał, wpatrując się w nią błękitnymi oczami:

– Czemu mam udawać? Przecież taka jesteś. A ja oddałbym ci wszystko, co najcenniejsze, gdyby nie to, że dla mnie nie ma nic droższego od ciebie. Wiesz o tym, Joy.

Wierzyła mu. Pozwalał jej istnieć z dnia na dzień i wstawiał każdego kolejnego poranka z myślą, że tym razem świat przekona się, jaka jest świetna i błyskotliwa. Wszyscy stwierdzą, że powinno się jej płacić przynajmniej dwa razy więcej, awansować ją i zaprosić na przyjęcie tak obrzydliwie ekskluzywne, że naprawdę nie miałaby co na siebie założyć.

Jednocześnie ona pozwalała istnieć jemu.

Dlatego też codziennie dziękowała niebiosom, że nigdy, przenigdy nie spotkała go w rzeczywistości. I miała szczerą nadzieję, żeby nie powiedzieć pewność, że do tego nie dojdzie.

Gdyby kiedyś na niego wpadła poza własną głowę, najprawdopodobniej pękłoby jej serce.

Była więc bliska zawału, kiedy dowiedziała się, że John rzeczywiście przyjeżdża do pobliskiego miasta. Koleżanka z pracy prawie ją zabiła, gdy oznajmiła, że są jeszcze wolne bilety na koncert, i spytała, czy nie chciałyby się wybrać. Może uda im się przepchnąć bliżej sceny. Wyobrażasz sobie...

– ...być tak blisko? To w ogóle cud, że przyjeżdżają na to zadupie! No nie mów, że jesteś zajęta, twoje zabójczo pry-

watne imprezy składają się z ciebie i pilota od telewizora, wszyscy o tym wiedzą!

Kilka głów w biurze odwróciło się w ich kierunku.

Joy westchnęła. Wredne babsko mogło nie dodawać, że od telewizora. To mógł być pilot NASA. Pilot odrzutowca. Do diabła, nawet pilot wycieczek!

– Nawet jeśli nie wiedzieli, to teraz już wiedzą – zauważyła, opadając na krzesło i próbując ukryć się za sztuczną roślinką. Fikusem czy czymś podobnym.

– To kupuję bilety – powiedziała jej koleżanka, Bella, wciąż pochylając się nad biurkiem.

Joy jęknęła w myślach: „Nie chcę. Nie chcę, nie chcę, nie, nie, nie, nie mogę go zobaczyć...”.

– Jasne – odparła na głos, wiedząc, że opór byłby daremny. Jeśli Bella coś sobie ubzdurała, wszelkie kłótnie były z góry skazane na porażkę. – Do jakiegoś tylnego rzędu. I nie spodziewaj się, że nagle zamienię się w kobietę wampa i będę rzucać stanik na scenę.

– Nie chcesz powiększyć ich kolekcji damskiej bielizny?

– Nie.

Nie. W tym wypadku wszystkie jej wcielenia zgadzały się w stu procentach.

Resztę dnia w pracy spędziła tak bezproduktywnie, jak tylko się dało, nie narażając się na zwolnienie.

Wykonała kilka telefonów, ale nawet na torturach nie byłaby w stanie powiedzieć, czego dotyczyły. Chyba nawet coś zamówiła, więc przynajmniej jeśli chodzi o tę rozmowę, to prędzej czy później okaże się, czy były to ulotki, czy fioletowe szklane

ślimaki. Raczej to pierwsze, nie wiedziała, gdzie miałaby złożyć zamówienie na mięczaki. Szczególnie szklane.

Na krzesło naprzeciwko usiadł John, więc przynajmniej godzinę spędziła, prowadząc bezdźwięczny dialog z samą sobą.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie – oświadczyła mu, kiedy kilka osób przeszło obok krzesła, na którym siedział. Ktoś nawet je przesunął. To, że inni go nie widzieli, było pocieszające, dopóki nie myślało się o tym w kategorii zwidów, wizji, omamów wzrokowych i słuchowych oraz mówienia do głosów we własnej głowie. Nawet jeśli odpowiadały.

– Dlaczego? – spytał, wzruszając ramionami, niespecjalnie przejęty człowiekiem, który właśnie postanowił na nim usiąść. Wstał i oparł się o ściankę boksu. – Wiesz, to niezbyt miłe z twojej strony, że nie chcesz zobaczyć, czym zajmuję się zawodowo.

To był kolejny problem z głosami. Dyskutowały i miały własne zdanie, co również dalekie było od normalności.

– Wiesz, nikt cię nie prosił, żebyś tu przychodził. W mojej pracy, w odróżnieniu od twojej, nie dzieje się nic ciekawego – burknęła, już czując, do czego zmierzał.

– Ze swojej pracy przynajmniej wracasz codziennie wieczorem do domu. Nawet jeśli tylko ja tam na ciebie czekam – odparował John. Nie miał najlepszego humoru, zupełnie jak ona. Ciekawe dlaczego.

– No dobra, dobra, pojadę. Ale na tym skończymy ten temat.

– W porządku – zgodził się, po czym zniknął.

– Hej, żyjesz? – Ktoś poklepał ją w plecy. – Idziesz na lunch czy zostajesz tutaj? Układanie pasjansa może poczekać, chyba że robisz to na czas.

Cholera.

– Idę. – Wstała, wyłączając monitor. Naprawdę powinna wyznaczyć Johnowi jakąś granicę, kiedyś wpadnie przez niego pod samochód i nawet nie będzie mogła pociągnąć go do odpowiedzialności za to, że ją rozpraszał.

– Słyszałem, że jedziecie na koncert. – Mike, posiadacz największych uszu w biurze, udowodnił, że nie służy mu jedynie do tkwienia przy twarzy. Jednocześnie nie był złym gościem, bo swoją wiedzę nie dzielił się z groźnymi wężami i ich właścicielem, siedzącym piętro wyżej. Z szefem z piekła rodem. Dyrektorem Samo Zło.

Pracownicy Venae niejednokrotnie wznosili modły do bożka biurowców, że nie trafili na to samo piętro, co ich straszliwy szef. Zawsze zdążyli się zorientować, kiedy światło windy przeskakiwało z czwórki na trójkę, gdy Zły Czarnoksiężnik Oz przychodził sprawdzić, co robią jego podwładni. Trudno było stwierdzić, czemu przyjęło się to ostatnie przewisko, może dlatego, że zawsze wybierali się do niego w kilka osób, z różnymi sprawami. Jakoś nie mogli przezwyciężyć się, by iść w pojedynkę, więc wyprawy w stylu „chciałbym dostać serce, odwagę i rozum” – co w tej rzeczywistości znaczyło „chciałbym dostać wolne popołudnie, zepsuło się ksero, skończyły się spinacze” – spowodowały, że ich szef stał się Ozem.

Sam Oz wcale nie był aż tak zły, po prostu wymagał niemożliwego, ale w tym departamencie zajmowało to około

dwóch tygodni. Przynajmniej wtedy, kiedy światelko windy wędrowało podejrzanie częściej niż zwykle. W innym wypadku pracownicy potrafili zagospodarować swój czas, na przykład na budowanie łańcuchów ze spinaczy. Może dlatego tak często musieli zamawiać nową partię.

Nie znaczyło to wcale, że byli nierobami. Wykonywali swoje zadania, ale żeby nie zwariować w małych, zabijających jakąkolwiek indywidualność boksach, musieli rozwijać wyobraźnię.

Może właśnie dlatego Jake, główny księgowy (i jedyna osoba, która tak naprawdę wiedziała, co należy do jej obowiązków), właśnie wbijał pięćdziesiąty czwarty poziom w grze, w której na pewno było więcej krasnoludów niż na losowo wybranej ulicy kilka pięter niżej.

Z jednej strony Joy była przekonana, że na dole na pewno nie ma żadnych krasnoludów, a już na pewno nie tych z toporami. Z drugiej, jeśli „na dole” oznaczało tunele pod miastem, to kto wie. Poza tym Joy nie wychodziła za często z domu, nie dałaby sobie więc ręki uciąć, że mali brodacze nie kręcili się po innej dzielnicy, nie mówiąc już o potencjalnych tunelach, prawda? Tak, Joy przed zamknięciem w boksie własnego umysłu ratowała wyobraźnia, choć czasami miała problem z postawieniem wyraźnej granicy między prawdą a fikcją. Cóż, nikt nie jest doskonały.

Tony i Gina (rysownik i korektorka) mieli romans, więc byli zajęci zawsze i wszędzie. Sam romans rozwinął się podczas jednej z tych nocy, kiedy musieli nadgonić jakiś projekt i jakoś tak im zostało.

Mike (informatyk) pod biurkiem składał kolczugę z jaskiń samochodowych kółek, więc jeśli ktoś mógł coś wiedzieć o krasnoludach w mieście, to prawdopodobnie on. Chociaż jego zajęcie wiązało się chyba raczej z rycerstwem, bieganiem za sobą z mieczami i okładaniem się po dębowych tarczach. Nie żeby Joy cokolwiek o tym wiedziała. Uważała, że nie jest jej to potrzebne do szczęścia.

Bella (reprezentantka firmy) zwykle była poza biurem, a wolny czas spędzała na jeżdżeniu z koncertu na koncert i zadawaniu się z muzykami, o ile udało jej się dostać na zaplecze albo do hotelu. Zgodnie z wykonywanym zawodem była bardzo reprezentacyjna, więc zwykle nie miała z tym problemu.

Jeśli chodzi o Joy, zajmowała się zbieraniem informacji i przekazywaniem ich dalej. Na przykład redagowała notatki o tym, że nic nie mają, w coś, co wyglądało mniej więcej tak: „Czekamy na dodatkowe kosztorysy od firmy X, przekroje z branży Y, informacje z urzędu Z, poza tym zwijamy się jak w ukropie, całujemy”. Czasami chodziła na piwo z ludźmi z pracy. Jednak zazwyczaj wracała do domu i wędrowała po własnej głowie. Tam, gdzie był John.

Nie było w biurze nikogo, kogo należałoby unikać albo po prostu się nie lubiło, bo był palantem. Za to też dziękowali bożkowi biurowców, kiedy przychodzili codziennie rano do pracy, wiedząc, że spędzą tam czas aż do zmroku.

– Jedziemy, jedziemy – przytaknęła Joy, tępo wpatrując się w kanapkę. – Znając życie, Bells jakimś cudem znowu załapie się na kolację z gitarzystą, a może raczej na śniadanie, a ja

skończę w środku nocy na stacji, czekając na pociąg powrotny. Zresztą zaraz po koncercie będę się zwijać, muszę być następnego dnia u rodziców na obiedzie. Nie ma przebaczyć, o ile nie będę martwa, muszę się w niedzielę odmeldować.

Podniosła głowę, czując na sobie wzrok swoich współpracowników, wyrażający nie tyle zdziwienie, ile współczucie. No tak, czego można się spodziewać po kimś, kto spędza piątkowy wieczór z pilotem od telewizora.

– Zdumiewa mnie, jakim cudem tak dobrze dogadujecie się z Bells. Jesteście jak ogień i woda – zawyrokowała Gina, jasno dając do zrozumienia, kto w tym tandemie jest ogniem.

– Ja jestem tą osobą, która zagaduje policjantów, kiedy Bells wyrzuca alkohol przez drugie okno w samochodzie – rzuciła Joy.

– Na jaki koncert? – Tony skończył pisać jakiegoś długiego SMS-a i podniósł głowę.

– Sundance – zaraportowała Bella, odchylając się do tyłu i pozwalając, by cały świat mógł dojrzeć jej opięty w żakiet kształtny biust.

– Coś mi się obilo o uszy, ale za cholerę nie jestem ich w stanie powiązać z konkretnym gatunkiem – mruknął Tony.

– Głównie rock – powiedziała Bella.

– To nie ta półka co Purple, Zeppelini czy chociażby Procol Harum, ale są na rynku kilkanaście lat i trzymają poziom – dodała Joy.

– I to już w przyszły weekend? Nie wiedziałem, że grają tu, na końcu cywilizowanego świata.

– Nie grają aż tutaj, musimy dojechać – wytłumaczyła Bella. – Dlatego Joy zaczęła marudzić o nocowaniu na dworcu i obiedzie.

Tony popatrzył na obie.

– Zaraz, o jakim obiedzie?

Wybuch śmiechu zakończył rozmowę, szczególnie że ktoś zerknął na zegarek i zorientował się, że właściwie powinni teleportować się do biura po drugiej stronie ulicy, żeby nie spóźnić się na codzienny nalot Oza, który sprawdzał, czy jego pracownicy nie uciekli od niego z krzykiem.

Kolejny tydzień w pracy, morderczo monotonny i nieobfitujący w żadne nadzwyczajne wydarzenia, pozwolił Joy odechnąć. Wszystko było w porządku i w normie. Śniadanie, krótka przebieżka, praca, telefony do wykonania, wspólny lunch, jakiś niezorientowany znajomy zapraszający ją do pubu i niewiedzący jeszcze, że odpowiedź zawsze będzie negatywna. Nie, wołała obejrzeć kolejny odcinek jakiegoś serialu kryminalnego i pozwolić myślom błądzić po alternatywnym świecie, gdzie była sławna, piękna i bogata.

Największym wydarzeniem była wyprzedaż w pobliskim butik, w którym Joy pozwoliła sobie na zakup błękitnych kozaków – nie żeby były jej potrzebne. Nie sądziła nawet, że je założy więcej niż raz, po prostu były ładne, a ona w końcu nie wydawała pieniędzy na alkohol, narkotyki czy na co tam jeszcze się je wydaje. W związku z tym mogła sobie raz na jakiś czas pozwolić na odrobinę przyjemności i luksusu.

W czwartek Bella dostała list z biletami. W piątek zaczął się koszmar, kiedy przyszła do Joy i poinformowała ją, że owa Joy nie ma w szafie nic, ale to kompletnie nic, w czym mo-

głaby się udać na koncert. To nie było koszmarem, ale potem Bella z okrzykiem wojowniczego barbarzyńcy poinformowała ją, że dobrze o tym wiedziała i przyniosła coś specjalnie dla niej. I, jak rany, tylko nie zemdlej, teraz takie dekolty są bardzo modne!

Joy była bez szans, musiała się zgodzić założyć tę potworną rzecz, która podobno była sukienką, a która była też wyraźnym potwierdzeniem teorii, że im coś ma mniej materiału, tym więcej kosztuje.

Kiedy nadeszła sobota, ze zgrozą założyła sukienkę. Po chwili chwyciła sweterek zapinany pod szyję, podkoszulkę i wyciągnięte spodnie, w który to zestaw miała zamiar przebrać się zaraz po zakończeniu koncertu. Na wierzch plecaka wrzuciła czapkę z daszkiem i wyszła z domu.

W grę wchodziły dwa pociągi powrotne. Jeden niedługo po północy, drugi kilka minut po piątej rano. Na ten po północy zdąży, jak będzie jej sprzyjała fortuna. Dla Bells sytuacja przedstawiała się inaczej. W najgorszym wypadku będzie to piąta rano, ale przy odrobinie szczęścia złapie ten odjeżdżający późnym popołudniem.

W przedziale siedziały z kilkoma innymi osobami, które, jak się okazało, również zmierzały na występ. Rozgorzała zacięta dyskusja na temat tego, kto w zespole ma najlepszy głos, i która piosenka jest najbardziej udana. Kiedy jakiś czas

później pojawił się konduktor, wszedł w sam środek imprezy. Zaczął pytać o bilety, więc wszyscy powyciągali bilety na koncert. Okazało się, że jeden z chłopaków w przedziale miał akurat urodziny, bileter został poczęstowany jednym małym, potem drugim i ostatecznie dojechał z nimi aż do stacji końcowej, kompletnie skołowany przez podstępą alkoholową brygadę.

W niezmiennym składzie dotarli pod znajdujący się kawałek od stacji klub. Gdyby Joy miała wybrać trzy słowa określające to, co tam zastali, byłyby to: kolejka, tłum, dramat.

– O mój Boże, ile ludzi! Wyobrazasz sobie, jak fantastycznie będzie, kiedy wszyscy zaczną robić falę? Albo śpiewać z zespołem? Mam nadzieję, że na koniec będą rzucali pałeczkami, muszę jedną zdobyć! Muszę mieć chociaż połowę, nawet gdybym sama miała ją przegryźć! – Bella podskakiwała z zapamiętaniem, przeciskając się powoli w stronę goryla sprawdzającego wejściówki. Joy trzymała się jej paska, tym razem z ulgą odkrywając, że przebojowość Bells i jej upór w dostawaniu tego, czego zapragnie, sprawdzały się aż za dobrze. W każdym innym przypadku stałyby pod klubem przynajmniej godzinę. Jednak jakimś cudem znalazły się nagle przed samą bramką, zapewniły, że nie mają przy sobie nic dziwnego, nielegalnego, niebezpiecznego, niemoralnego...

(Bells: „Kotku, ja cała jestem niemoralna, musiałbyś mnie zarekwirować”).

...i już były w środku.

– Toaleta, piwo, a potem pod scenę – padł rozkaz, po czym zagłębiły się w kolorowe wnętrze klubu.

Pomieszczenie było olbrzymie. Kilkupiętrowe, z artystycznie kutymi poręczami schodów i krzesel, kilkoma barami, szatniami i podłogą, która migotała milionem świateł. Przy bliższej obserwacji pod grubym hartowanym szkłem widać było żarówki. Wszędzie kłębili się ludzie w różnym wieku: od dobrze ukrytej pod makijażem zaawansowanej niepełnoletności po tych, na których w domu mogły czekać już dzieci. Może nawet w wieku tych, które się tu kręciły.

Gdzieś w głębi znajdowała się sala koncertowa.

– Zaplecze – dodała spokojnie Bella. – Oświetleniowcy. Support. Główne danie.

„Główne danie”. Joy odruchowo przewróciła oczami. Boże, z kim ona przyjechała?

– Nie, Bells, umawiałyśmy się... – zaczęła słabo.

– Ej no, nie zaciągnę cię przecież na siłę, ale nie powiesz mi, że ja też mam prowadzić smutne, beznadziejne życie.

Joy westchnęła, obciążając sukienkę, która jak na jej gust pokazywała zdecydowanie za dużo.

– Nie jest smutne i beznadziejne, Bellissimo. Jest moje.

– Och... – Jej koleżanka zacukała się i zrobiła lekko czerwona na twarzy. Ze wszystkich znajomych z ostatnich dziesięciu lat właściwie tylko Joy wiedziała, jak Bella ma naprawdę na imię, i przysięgała używać tej wiedzy tylko w ostateczności.

– Więc pójdziemy teraz na koncert, przeciśniemy się tak blisko, jak się da – zaproponowała Joy, biorąc od koleżanki piwo. Nagle poczuła się jak w domu. – Potem wykonamy plan, ty w sobie tylko znany i magiczny sposób owiniesz sobie wokół palca tego słodkiego gitarzystę, a ja wrócę do

domu. Przy odrobinie szczęścia przed świtem. A po drodze będziemy się świetnie bawić. I zapomnijmy o tym, co mówiłam przedtem, dobrze?

– Tak.

Upiły jeszcze trochę piwa i skierowały się w stronę sali, z której dobiegał coraz większy gwar.

Nie dostały się pod samą scenę, co jedna z nich przyjęła z wyraźną ulgą. Jednak kiedy kilkanaście minut później dźwiękowcy skończyli sprawdzać sprzęt, światła przygasły do subtelnego fioletu i razem z dymem na scenie pojawił się zespół mający rozgrzać publikę przed, jak to określiła Bella, „daniem głównym”, Joy poczuła, że znalazła się we właściwym miejscu. Zanim się spostrzegła, wpadła w sam środek podskakującej grupy ludzi i wywrzaskiwała refren razem z całym tłumem.

– Dalej, pokażcie nam, że chcecie usłyszeć chłopaków z Sundance! Pokażcie im, że tego chcecie! – wydzierał się wokalista początkującego zespołu Killed My Guitar with Vanilla God. Przed nimi była jeszcze długa droga, ale mieli dwie rzeczy, które pozwalały przypuszczać, że kiedyś się przebiją: dużo zapału i durną nazwę, która właśnie przez to, że była durna, zapadała w pamięć.

– Sun-dance, Sun-dance! – Tłum zaczął skandować, pchając się w pobliże sceny. Nagle zrobiło się niepokojąco ciasno. – Suuu...

– Tak! Właśnie tak!

Basista uderzył w struny i przysunął się do mikrofonu.

– To teraz zagramy wam naszą ostatnią... no, przedostatnią piosenkę i ustąpimy miejsca tym, dla których tu przyszlście! Tym razem będzie lżejsza... Raz, dwa, raz, dwa, trzy...

Lżejsza piosenka różniła się od poprzedniego łomotu tym, że wokaliście od czasu do czasu udawało się przekrzyć perkusję. Cała grupa dawała z siebie wszystko i może dlatego jako ostatnia zauważyła nagle wtargnięcie na scenę. Na sali zapadła pełna zaskoczenia cisza, kiedy między instrumentami zaczął lawirować wokalista Sundance.

– Przepraszam... tak, ja tylko na chwilę, przepra... Nie przeszkadzajcie sobie... – dało się usłyszeć, kiedy dojrzał jakiś wolny, podłączony mikrofon. – Eee... tak, cześć. Dobra piosenka, refren wpada w ucho – rzucił, kiedy wokalista umilkł zaskoczony, a perkusista z tyłu zamarł z rękami w górze. Jedna z pałeczek wypadła mu z dłoni.

– Ja tylko na moment, słowo. Potem sobie pójdę.

– Niiieee! – zawył tłum. Joy z trudem łapała oddech. O Boże...

– Tak, słuchajcie, zginął nam perkusista. To znaczy zaginął – poprawił się natychmiast sławetny John Ricchi. – Jest gdzieś w tym budynku, a panią, która jest odpowiedzialna za to zamieszanie, prosimy o oddanie go w stanie zdatnym do użytku w przeciągu, powiedzmy, dziesięciu minut. Dziękuję.

Skłonił się i szybko, jakby zmieszany, zszedł ze sceny, żegnany wybuchem śmiechu i oklaskami.

– Omójbożeomójboże, widziałś go? To był on! Wygląda niesamowicie, jest taaaki zniewalający! – Bells potrzasała Joy za ramię, korzystając z chwili zamieszania, kiedy zespół Killed My Guitar with Vanilla God nie wrócił jeszcze do przerwanej piosenki.

To była prawda. Był boski. Joy poczuła się tak, jakby po latach posiadania wytartej kopii jakiegoś szalenie znanego i cenionego obrazu nagle stanęła przed strzeżonym przez ochroniarzy oryginałem. W sumie ochroniarze na tym obrazku nawet się zgadzali.

– Oj, jest – udało jej się wykrztusić. Spokojnie, co cię nie zabije, to cię wzmocni. To nie jest ten sam człowiek. To tylko pierwowzór.

Złapała się na tym, co właśnie pomyślała. Do diabła, jakie tylko!

– Już się nie mogę doczekać! – zapiszczała Bella, podskakując w rytm muzyki. – To będzie koncert mojego życia!

Tak, jeśli o to chodziło, wszystkie wcielenia Joy zgadzały się w stu procentach.

– Dziękujemy! Byliście wspaniali! Jesteście najlepszą publicznością na świecie! – Killed My Guitar kłaniali się i powoli schodzili ze sceny. Prawie jednocześnie między instrumentami pojawili się ludzie od nagłośnienia, poprawiając wszystko to, co wychwycili jako niewspółgrające, za głośne albo za ciche. Tłum na sali był po prostu jednym wielkim oczekiwaniem na zespół wieczoru. Joy popełniała

właśnie we własnej głowie widowiskowe samobójstwo, dochodząc do wniosku, że już nigdy nie zaśnie, a ten koncert plus jej nieco wybujała wyobraźnia będą tym, co wpędzi ją do rzeczywistego grobu. Już widziała te nagłówki w gazetach. „Podczas ostatniego koncertu Sundance zmarła osoba z publiczności. Lekarz wezwany na miejsce zdarzenia powiedział nam: «Nie mogłem nic zrobić. Trudno to nawet nazwać zawałem, jej serce po prostu się zatrzymało. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. Z relacji świadków wynika, że do tego tragicznego wydarzenia doszło w momencie, gdy zespół pojawił się na scenie»”.

– Już są... – Joy usłyszała przy uchu rozgorączkowany jęk Belli. – Wygląda na to, że odzyskali perkusistę. Trochę się potargał...

Joy podniosła głowę i otworzyła usta. Gitarzystą, Patrick, dostrajał instrument, reszta zajmowała swoje miejsca na niewielkiej scenie. Gdzieś blisko, a jednocześnie daleko tłum klaskał i gwizdał.

Zamknęła oczy. Spokojnie, po prostu udawaj, że to wszystko dzieje się tylko w twojej głowie. Przechodziłaś przez to setki razy. No już. Raz, dwa...

– O, rzeczywiście – odezwała się ze śmiertelnym spokojem. – Jakie mają wąskie spodnie, myślisz, że da się je ściągnąć normalnie, czy muszą je rozcinać po każdym występie? – To była chwilowo jedyna rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

– To naprawdę ty? – Bella zachichotała. – Nie wiedziałam, że twój umysł w ogóle wytwarza myśli z tego obszaru.

– Hej, witajcie. – John podszedł do mikrofonu. – Jesteśmy tutaj po raz pierwszy, ale musimy wam to powiedzieć: już nam się podoba.

– Szczególnie temu tam, schowanemu za bębnami. – Patrick schylił się w stronę mikrofonu i błysnął zębami. Większość kobiet na sali zaczęła pisać.

– Ale nie przyszlście po to, żeby patrzeć, jak sobie dogadujemy, więc nie przedłużamy. – John powstrzymał przyjaciela, zanim tamten się rozkręcił.

Kiedy pałeczki uderzyły w perkusję, Joy dodała:

– Wiesz, nawet ja jestem w stanie dostrzec przystojnego mężczyznę, szczególnie kiedy świeci na niego kilkadziesiąt żarówek...

Obie westchnęły, myśląc o dwóch zupełnie różnych osobach.

Potem było zdecydowanie za głośno, by mówić cokolwiek.

Pół godziny później, po skończeniu jakiejś solówki, Patrick nagle odłożył gitarę, napił się wody i schylił do mikrofonu.

– To jest ten moment, w którym gitarzysta przemawia...

– Hej! – Lider oburzył się za przerwanie mu piosenki w połowie. – Oni chyba jeszcze nie są na tyle pijani, by to wytrzymać.

Musieli chwilę poczekać, aż po tym komentarzu publiczność ucichnie na tyle, by było ich słychać. W tle perkusista,

wczuwając się w swoją rolę, zaczął niepokojąco bębnić, jak przed ważnym ogłoszeniem.

– Na pewno jeszcze o tym nie wiecie, bo nasz drogi Johnny nie afiszuje się ze swoim życiem osobistym – zaczął znowu Patrick.

– Przepraszam, można mu wyłączyć mikrofon? I tak nie korzysta z niego w odpowiedni sposób.

– Ale rozwiódł się kilka dni temu – dokończył szybko Patrick. – To właściwie jego pierwszy raz, kiedy gra jako singiel. Wiecie, co z tym zrobić, nie?

John przejechał dłonią po twarzy i odczekał kilka minut, aż widownia przestanie wyć. Naprawdę współczuł teraz ochroniarzom stojącym między zespołem a całą resztą oszalałej nagle publiki. Psychologia tłumu, w którym połowę stanowią rozwrzeszczane baby. Co za koszmar.

– Wiecie... – zaczął, kiedy wymyślił sensowną ripostę. – On się teraz mści za to, że zabrałem z łódówki ostatnią puszkę. Patty jest całkiem ładny i umie przebierać palcami po strunach, i to niestety jego jedyne zalety. Ukrywaliśmy to z resztą chłopaków, ale za każdym razem, kiedy próbowano mu zamontować mózg, organizm odrzucał przeszczep...

Patrzyli na siebie przez chwilę. Patrick napił się jeszcze wody, chwycił gitarę, po czym rzucił do mikrofonu:

– No to teraz jesteśmy kwita. Jeśli ktoś miał nadzieję, że właśnie patrzy na rozpad zespołu, to przepraszamy, ale kochamy się nad życie i będziemy ze sobą grać aż do śmierci ostatniego pieprzonego członka. – Uderzył w struny i zaczął przygrywkę. – To tak tematycznie, co powiecie na Midnight Killer?

Grali ponad dwie godziny, jeśli wliczyć w to przerwę na „wiadomości z kraju i ze świata” i dwie piosenki zagrane na bis. Zostaliby zlinczowani, gdyby nie wrócili, a zresztą naprawdę dobrze się bawili. No i zarobili dzisiaj całkiem niezłe pieniądze. Choć nie takie, jakie zarobili na stadionie. Ale w klubach było coś magicznego, lubili pojawić się w jakimś od czasu do czasu. To dobrze im robiło na głowy, przypominało czasy, kiedy zaczynali w garażu rodziców. Nie zawsze byli zabójczo sławni i bogaci. Chcieli jeszcze trochę pozostać niesamowicie przystojnymi i skromnymi chłopakami, mimo że od pierwszej płyty, kiedy nagle cały świat zdecydował, że ich kocha, minęło już kilkanaście lat. W końcu jednak ukryli się w niewielkim pokoju na tyłach, z ręcznikami na ramionach.

Nawet tam było słycać podniecone rozmowy ludzi tłoczących się nadal w klubie.

– Nie wracam z wami – zapowiedział Jim, oglądając odciski na dłoniach. – Znalazłem łaskę, która wie, czego chce, i na start nie wymyśla problemów. Przeciwnieństwo mojej żony, jaram się samym tym faktem.

– Mógłbyś chociaż wziąć szybki prysznic. – Patrick próbował opanować szopę na głowie.

– Racja – zgodził się perkusista. – Wezmę z nią.

– No, no. Będzie wniebowzięta.

– A ty, Johnny?

Wywołany podniósł powoli głowę z oparcia starej, przecieranej kanapy, na której przed nimi siedziała pewnie z setka zespołów. Obrzucił kumpli zmęczonym spojrzaniem.

– Ja? Prawdopodobnie przez długi jęzor mojego ukochanego gitarzysty będę się ukrywał do końca życia. Dzięki, dupku. – To ostatnie zdanie skierowane było już bezpośrednio do zainteresowanego.

– Naprawdę jestem twoim ukochanym gitarzystą? – Patrick udał, że ociera łzy. – Jestem taki wzruszony...

– Jesteś jego jedynym gitarzystą – mruknął basista, chwytając sprzęt. – Chyba że uznajemy moje wiosło za gitarę, niektórzy tego nie robią. Nie wiem jak wy, ja w każdym razie zbieram się do hotelu.

John również wstał i zwrócił się do jednego z dwóch ochroniarzy siedzących przy drzwiach:

– Tom, zostań z Pattym, przypilnuj, by nie rozebrali go na części pierwsze. W każdym razie niech zostawią twarz i palce, reszta nie jest nam specjalnie potrzebna. Owen, zbieraj się – dodał, patrząc na drugiego z miśków pilnujących bezpieczeństwa zespołu. – Wychodzimy.

Złapał kurtkę i razem z basistą wymknęli się przez niewielkie drzwi prosto na dwór.

– Bez paniki, zajmę się fanami! – zawołał za nimi Patrick, łasy na komplementy. W końcu był ładny i utalentowany, tak? Dlaczego nie miałyby z tego korzystać?

Na zewnątrz, całkiem niedaleko, jacyś ludzie wychodzili z klubu. Na szczęście wyjście dla muzyków było za rogiem. Czasami ewakuowali się od razu do autobusu należącego do zespołu, tym razem jednak przylecieli samolotem i ich najbliższa meta przesunęła się do hotelu, do którego właśnie zmierzali.

– Może taksówką? – zaproponował lekko spanikowany John.
– Teraz, jak już jesteśmy na dworze? Przebijaj nogami, przebijaj – odpowiedział Ben, naciągając Johnowi kaptur głębiej na oczy. – Zanim coś przyjedzie, na bank nas znajda.

Druga połowa zespołu zamierzała bawić się przynajmniej do świtu, za co mentor Sundance łamane przez strażnik łamane przez agent prawdopodobnie ich zabije.

Jak postanowili, tak zrobili. Perkusista namierzył dziewczynę sprzed koncertu i ulotnił się dosyć szybko, natomiast Patrick radośnie i z zaskoczenia wpadł w tłum fanów. Kiedy ludzie, którzy zaczęli już wychodzić, zobaczyli, że ze sceny zeskakuje dosyć ważny członek ich ulubionego zespołu, hurmem rzucili się w jego stronę. Bells i Joy zostały pociągnięte przez morze ludzi pod scenę, z dobywającym się ze środka jękiem: „Nieeee... mój pociąaaaa...”.

– To mnie nie dotyczy, on mnie nie obchodzi – sapłała pod nosem Joy, przepychając się w stronę drzwi wyjściowych. Czuła się trochę bezpieczniej, wiedząc, że tłum nie pcha jej w stronę Johna, ale z drugiej strony, mógł się jeszcze gdzieś tutaj kręcić. Wołała nie wpaść na niego przypadkiem, gdyby jednak miał zamiar się pojawić.

Wreszcie udało jej się wydostać z tłumu. Gdzieś za plecami słyszała damskie ćwierkanie na wiele głosów i wibrujący męski śmiech.

Odetchnęła i już spokojnie ruszyła do wyjścia. Zerknęła na zegarek i zbladła gwałtownie. Była pewna, że kon-

cert skończy się na tyle wcześniej, że bez problemu zdąży na pociąg, gdzie zgubiła całą piekielną godzinę?! Zakłęta, wypadła z klubu, mijając zdziwionego ochroniarza, i biegiem ruszyła w stronę stacji.

Mniej więcej w tym samym czasie John stał za wielką sztuczną palmą w holu hotelu i udawał, że go tam nie ma. Od wyjścia dzieliło go jeszcze kilkanaście metrów i czuł się jak, nie przymierzając, bohater Mission: Impossible. I to już w momencie, kiedy miał przy sobie supertajne, ukradzione dokumenty i próbował się wydostać ze strzeżonej fortecy wroga.

Wszystko przez to, że byli śledzeni. Idioci, myśleli, że uda im się uciec, a przecież wystarczyło, że dostrzegła ich jedna osoba, kiedy przechadzali się po mieście, rozkoszując się chłodem nocy. Potem ten ktoś zadzwonił do kolegi, obok którego stała jakaś grupa, tamci skrzyknęli następnych i kilkadziesiąt osób wylądowało pod tym samym hotelem co Sundance, prawdopodobnie z misją zaściskania ich na śmierć. Z pomocą obsługi udało im się wejść bocznym wejściem, ale najgorsze było to, że sporo ich fanów dostało się do środka. Teoretycznie nie powinno ich nawet być w budynku, ale spryciarze wynajęli chyba wszystkie pozostałe pokoje i pętali się tam jako goście.

Na dodatek Benjamin pojechał na górę pierwszy, bo Johna coś zatrzymało przy recepcji. Chyba tylko dlatego go nie zauważyli, że stał na samym środku, ale tyłem. Najciemniej pod latarnią, no nie?

Cały ten rozentuzjasmowany tabun pognał na górę i teraz pewnie czałł się gdzieś pod sypialnią Johna. Co za dramat.

John ukrył się w korytarzu prowadzącym do toalet i ostrzegł przez telefon swojego basistę. Ben w ostatniej chwili zdążył się ukryć w pokoju i zapewnił, że będzie udawał, iż go tam nie ma, i nikomu pod żadnym pozorem nie otworzy drzwi. Jeden z nich był już bezpieczny, ale pozostawała nadal kwestia tego, co ma ze sobą zrobić Johnny.

Poddał się swoim najbardziej prymitywnym instynktom. Odświeżył się w toaletach na dole, wrócił do holu i postanowił uciec. Był już w połowie drogi, kiedy drzwi windy się otworzyły i grupa fanów z koncertu postanowiła poczekać na dole na drugą połowę zespołu. Koniec historii. Właśnie w ten sposób wylądował za palmą.

Musiał poczekać kilkanaście minut, by w jednym momencie wszyscy przestali się patrzeć w stronę wyjścia. Szybkim marszem, nie zwracając na siebie uwagi, wypadł na dwór.

Wiedział, że go nie zauważyli, bo nikt się za nim nie rzucił, co za ulga. Gdyby kilkanaście lat temu ktoś go uświadomił, co się łączy z byciem gwiazdą, dwa razy by się zastanowił przed pisaniem tych hitów.

Odetchnął kilka razy chłodnym powietrzem, po czym dotarło do niego, że po koncercie i całej tej zabawie w chowanego jest po prostu głodny. Podniósł wzrok. Niedaleko hotelu znajdował się długi oświetlony budynek, prawdopodobnie stacja autobusowa albo kolejowa. Jest szansa, że mają tam coś do jedzenia i o tej porze nie będzie tam prawie nikogo.

Z o wiele lepszym humorem rażnym krokiem ruszył przed siebie. Wyciągnął telefon i wybrał numer Benjamina.

– U ciebie wszystko w porządku? To dobrze. Hej, słuchaj, ulatniam się na jakiś czas, pewnie do świtu albo na trochę dłużej. Nie, oczywiście, że nie poinformowałem o tym naszego agenta, Page by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że jego bezcenna kura znosząca złote jajka włóczy się po obcym mieście w środku nocy. – Przerwał na chwilę, po czym skrzywił się. – Tak jakby nie mógł prześladować perkusisty, prawda? No, jeśli masz jakieś skłonności samobójcze, to sam do niego zadzwoń.

W słuchawce dało się słyszeć przekleństwa, po czym popłynął głośny potok słów:

– Ja jestem paranoikiem, zamierzasz mnie naprawdę zostawić samego w tym pokoju? Nie znoszę ludzi, ale w tym wypadku przydałoby mi się towarzystwo, poza tym was trzech nawet trochę lubię. No, toleruję. Oni są za drzwiami, a ja jestem zwierzęciem studyjnym, w ogóle się nie nadaję na koncerty!

– Przecież jesteś świetny na koncertach! – przerwał mu John, drapiąc się po głowie. – Wiesz, chętnie bym do ciebie dołączył, ale niestety skończyła mi się pajęczyna w nadgarstkach, a to jedyny sposób, jaki znam, żeby dostać się po zewnętrznej ścianie budynku na dwudzieste piętro. Nawet na osiemnaste. Latać też nie potrafię, choć nie przestaję próbować.

– Co, nie jesteś Supermanem? – Ben dał się na chwilę wciągnąć w grę. – Byłem tego pewien!

John zaczął wchodzić po schodach prowadzących na dworzec.

– Po prostu udawaj, że jest tak, jak kilkanaście lat temu. Pamiętasz Jessikę, jak wprowadziła się do domu obok ciebie? Potrafiłmy leżeć godzinami w twoim pokoju w oknie, przy zgaszonych światłach, udając, że nas tam nie ma. Otwórz sobie barek, włącz cicho telewizor i jakoś to przetrzymaj. Poza tym chłopaki... znaczy Patrick powinien niedługo wrócić.

Przerwał i przez chwilę kiwał głową.

– Tak, wiem, to akurat główniane pocieszenie. Ale może skupi na sobie uwagę? Ja? Nie wiem, poszukam czegoś do jedzenia, kupię sobie gazetę i będę się za nią ukrywał. Myślisz, że powinienem wyciąć dwie dziurki na oczy? Dobra – zaśmiał się. – Zastanowię się. I proszę, nie dzwoń do Page'a. I tak niedługo się zorientuje, że mnie nigdzie nie ma...

Kiedy Joy wpadła na dworzec, do odjazdu pociągu zostało dokładnie siedem minut. Jak się okazało, była to bardzo ważna informacja.

Stała na chwilę zdyszana, rozglądając się po długim, pustym budynku. Wyglądało na to, że kasy są akurat na samym końcu, za to niedaleko wyjścia na peron. No cóż, przynajmniej tyle.

Zarzuciła plecak na ramię i szybkim krokiem ruszyła w tamtym kierunku.

Żeby być dokładnym, siedem minut przed odjazdem pociągu Joy starający się nie zwracać na siebie specjalnej uwagi wokalista John Ricchi kupował kebab w jedynej otwartej budce. Na szczęście wyglądało na to, że sprzedawca nie dość, że nie interesuje się tym, co dzieje się w jego mieście, to jeszcze nie pasjonuje się muzyką, a istniało również pewne prawdopodobieństwo, że jego filozofia życiowa prowadziła się do tego, by dokładnie wszystko mieć w dupie.

Nie zabierając reszty, mężczyzna wyznający w tym momencie filozofię pozostawiania incognito ruszył w kierunku powieszanej przy kasach listy przyjazdów i odjazdów. Nie widział takiej od lat, ale przypomniało mu się, że kiedyś stawali z chłopakami pod podobnymi, nawet autobusowymi, i wyobrażali sobie, jak by to było, gdyby wsiedli do pierwszego lepszego pojazdu jadącego do nieokreślonego Wielkiego Miasta, wysiedli w zupełnie nieznanym miejscu i nie mieli nic innego do roboty, tylko zrobienie niezimskiej kariery.

Później rzeczywiście to zrobili. W sumie trudno stwierdzić, jakim cudem taki numer im wyszedł. Teraz też zdarzało się, że wysiadali w zupełnie nieznanym sobie mieście. I nadal starali się tak samo, jak pierwszego dnia.

Kiedy zadzwonił jego telefon, przełykał właśnie pierwszy kęs. Mało brakowało, by zadławił się na śmierć, gdy na wyświetlaczu zobaczył nazwisko swojego agenta. Odebrał lekko zestresowany.

– Cześć, James – powiedział. – Słuchaj, zanim postanowisz mnie zamordować...

Krzyk jego agenta słysząc było przynajmniej na pół dworca. Może właśnie dlatego John nie zwrócił uwagi na kobietę, która z wyraźną determinacją na twarzy biegła w jego stronę.

Joy dojrzała go wcześniej i założyła, że kierował się do kas. Jeśli zajmie jej miejsce, to chyba go zabije.

Wtedy zorientowała się, że to John. Przyjęła to z całkowitym spokojem. No, przynajmniej wrócił, pojawiał się już w dziwniejszych miejscach, w pracy, na ławce w parku, u niej w kuchni. To było coś, z czym sobie radziła. Nie kontrolowała do końca swojej wyobraźni, ale jej nie przerażała. Więc kiedy zadzwonił telefon Johna, szturchnęła go tylko w ramię i zdyszana rzuciła:

– Rany, John, przesun się, nie widzisz, że mi się śpieszy?
– Po czym nachyliła się w stronę okienka, gdzie jakaś panienka z nie mniejszym zapałem niż agent Ricchiego dyskutowała przez telefon.

– Hej! – Joy zapukała w szybę dzielącą ją od upragnionego biletu. Wyciągnęła portfel, położyła go na półeczce, po czym podniosła wzrok. Została zignorowana.

– Halo! Za co ci tu płacą? Bilet na dwunastą dwanaście! Zerknęła na zegarek.

– Kobieto, pociąg mi ucieknie!

Kasjerka odłożyła telefon i zmierzyła ją złym spojrzeniem.

– I tak już za późno – poinformowała z wyraźną satysfakcją w głosie. – System. On przestaje działać pięć minut przed odjazdem.

– No chyba sobie... To twoja wina, kretynko, że jest za późno! – zdenerwowała się Joy. Nie chciała spędzić całej nocy na peronie. – Zresztą co to za pomysł z tym systemem, chcę jeden głupi bilet na pociąg, który stoi na stacji!

Poczuła na sobie wzrok Johna. Do diabła, raz mógłby się przydać, w takich momentach żałowała, że nie jest prawdziwy. A także przy malowaniu mieszkania, wnoszeniu ciężkich rzeczy na górę i kłóceniu się z mechanikiem samochodowym. Westchnęła, kiedy dziewczyna za szybą powtórzyła, że nic nie może dla niej zrobić, i spytała, czy chce bilet na kolejny pociąg w tę samą stronę.

– Obejdzie się – mruknęła Joy, odchodząc od szyby, i ruszyła w stronę torowiska. – Najwyżej przejadę się bez biletu, kto go będzie sprawdzał o pierwszej w nocy...

Kiedy wahadłowe drzwi na peron zamknęły się za nią, John, którego agent wreszcie stracił głos i dzięki temu obaj mogli się przez chwilę skupić, popatrzył na pozostawiony portfel. Tym razem to z jego piersi wyrwało się westchnienie.

– Co, przykro ci, tak? Zaraz wracasz do hotelu? – odezwał się James Page.

– Nie, prawdę mówiąc, nie po to ukrywałem się za sztuczną rośliną, by teraz samobójczo tam wracać. Słuchaj, muszę coś oddać jednej dziewczynie. Pogadamy później.

Wyłączył telefon, chwycił portfel i ruszył za jego właścicielką.

Kiedy wypadł na peron, dziewczyna z plecakiem właśnie patrzyła na zamykane drzwi pociągu stojącego trzy perony dalej. Nie miałyby szansy zdążyć przejściem podziemnym, chyba że zamiast tego zdecydowałyby się skakać wierzchem po torach, z całym tym wysokim napięciem. A wyglądała na kogoś, kto właśnie bierze porządny rozpęd.

– Hej! – krzyknął.

Zignorowała go. Znowu. Nie miał wyboru, rzucił się w jej stronę i złapał ją za nadgarstek, kiedy ruszyła biegiem w stronę pociągu.

Zderzenie z rzeczywistością zabolalo, kiedy Joy potknęła się o nogi kogoś, o kogo nie powinna się potykać. I kto nie powinien mieć wpływu na koordynację ruchową jej ciała. A przede wszystkim...

– Chcesz zginać, idiotko?! – warknął, masując kolano. Pociągnęła go za sobą, tak jakby w ogóle go tu nie było. Nikt, ale to naprawdę nikt przez ostatnie dziesięć lat nie traktował go jak powietrze. Z jakiegoś powodu bolało to jego dumę o wiele bardziej niż uderzenie o podłogę.

Joy opuściła wzrok na swoje przedramię, nadal trzymane w mocnym uścisku. Potem podniosła głowę.

Gdyby miała teraz postawić jakąś hipotezę, to stwierdziłaby, że rzeczywistość od fikcji różniła się dwiema rzeczami. Po pierwsze, nawet najlepsza wizja nie była namacalna, nigdy, niezależnie od tego, po ilu piwach Joy była. Po drugie...

Błękitne oczy wpatrywały się w nią z wyraźną irytacją. Na dodatek czuła jego oddech. I zapach. To było to po drugim.

O Boże.

Zaczęła szybciej oddychać, przerażona łapiąc powietrze w płuca.

On ją trzyma. Za rękę. To znaczy, że jest tu naprawdę.

Nagłówki. „Śmierć na dworcu. Lekarz wezwany na miejsce zdarzenia powiedział nam: «Nie mogłem nic zrobić. Trudno to nawet nazwać zawałem, jej serce po prostu się zatrzymało»”.

– Hej, wszystko w porządku?

Poruszyła dłonią.

– Nie...

Ruszający pociąg wyrwał ją z szoku. Spojrzała na odjeżdżające wagony.

– Jasna cholera – rozwinęła myśl, uwalniając rękę z uścisku. Wrażenie, że się dusi, powoli ustępowało. Było nieźle, dopóki patrzyła w inną stronę.

– Ty to mówisz? – Mężczyzna podniósł się z klęczek i otrzepał spodnie. – Masz, to twój portfel, następnym razem, jak będziesz chciała popełnić samobójstwo na torach, weź ze sobą dokumenty, żeby mogli cię zidentyfikować.

– Nie miałam zamiaru popełniać samobójstwa, tylko pojechać do domu. – Wstała, ostrożnie omijając wyciągniętą w jej kierunku dłoń. – Na następny pociąg muszę czekać do rana. Życie jest do bani.

– No jasne, to rzeczywiście problem. – John opuścił rękę. – Po prostu można się załamać. Ja na przykład pobiegłem za terrorystką samobójczynią z dobrej woli, żeby oddać jej coś,

co zgubiła. Ta nie dość, że mi nie podziękowała, to jeszcze przeciągnęła mnie po dworcu. Po drodze zgubiłem śniadanie. No, kolację. A tak w ogóle to najbardziej i tak z tego wszystkiego denerwuje mnie fakt, że wiesz, kim jestem, bo zwróciłaś się do mnie po imieniu przy kasach i potraktowałaś jak morowe powietrze. Nigdy w życiu nikt, kto mnie rozpoznał, nie powiedział mi głosem dyktatora: „Przesuń się, stoisz mi na drodze”. No, może poza moim agentem. A jeszcze przedtem uciekałem przed oszalałym tłumem w hotelu. I jeszcze jednym wcześniej. Ale nie, nie przeszkadzaj sobie... I czemu niby się śmiesz? Taki jestem zabawny? – wyrzucił z siebie.

Joy ze spuszczonym wzrokiem wzięła od niego portfel. Zasłoniła usta dłonią i zaczęła się trząść, chichocząc dalej.

– Dziękuję za uratowanie życia – zaczęła niewyraźnie, śmiejąc się bezgłośnie. – I za oddanie portfela.

– To takie śmieszne?

– Wcale... Wcale nie chciałam powiedzieć, że stoisz mi na drodze, ale...

Na chwilę musiała przerwać, żeby złapać oddech.

– Ale wiesz, John...

Opuścił głowę. Całe życie z wariatami. Najwyraźniej niektórzy powinni mieć na wariactwo papiery.

– Właściwie całe zdanie powinno brzmieć: „Przed chwilą byłam na twoim koncercie, a teraz przesuń się, bo stoisz mi na drodze”.

Patrzył na nią przez sekundę, a potem wybuchnął śmiechem.

– Żartujesz sobie, tak?

Sięgnęła do kieszeni i podała mu przedarty bilet.

– Jak rany. – Podparł się pod boki. – No to w takim razie jesteś pierwszą dziewczyną w moim życiu muzyka, która powiedziała mi, żebym spadał, jeszcze zanim zacząłem się do niej przystawiać.

– Bez przesady. – Joy popatrzyła mu w twarz. – No wiesz, rzuciłeś się na mnie.

– Za tobą – poprawił. – Musiałabyś wyglądać jak młoda Liv Tyler, żebym się na ciebie rzucił. Poza tym to działa w drugą stronę: kobiety zwykle rzucają się na mnie.

Poczuła, że jej oddech znowu robi się płytszy, kiedy świadomość przedstawiła fakty w odpowiedniej kolejności. Jest środek nocy, a ty stoisz sam na sam z Johnem Ricchim. Na dodatek wygląda na to, że ze sobą rozmawiacie.

– Hej – odezwał się, widząc, że nagle umilkła. – Przepraszam, nie chciałem cię obrazić.

– Nie obraziłeś mnie. – Spuściła głowę z nadzieją, że nie była czerwona na twarzy. – Wiem, że trochę mi brakuje do Liv Tyler. Po prostu nie każdego dnia doprowadzam do tego, by gwiazda rocka biegała za mną po dworcach. Nie za bardzo wiem, jak się zachować.

– O której masz następny pociąg? – spytał, przestępując z nogi na nogę. W jego tylnej kieszeni wibrował telefon, ale John chyba nie miał Jamesowi nic nowego do powiedzenia.

– Piąta coś. – To było mało skomplikowane pytanie, mogła na nie odpowiedzieć.

– Pięć godzin – zastanowił się. I tak miał zamiar tu zostać, a nie miał gazety, przy lekturze której mógłby zabić czas.

Może zabijać go w inny. – Słuchaj, może w takim razie krótka instrukcja, co się robi w takich sytuacjach.

Poprawił włosy, po czym wyciągnął dłoń w stronę lekko zawstydzonej dziewczyny. To zachowanie przynajmniej mógł zrozumieć, już się z nim spotykał.

– Jestem John – powiedział. – A ty?

Otworzyła usta, patrząc na niego zszokowana. Żartuje sobie, prawda?

– Nie powinieneś teraz być ze swoim zespołem? Z fanami w hotelu i w ogóle?

Jęknął. Słyszał Jamesa, nawet nie odbierając telefonu.

– Kobieto, jeszcze raz. Jestem niesamowicie sławną i przystojną gwiazdą rocka. Mam na imię John. Ricchi. A ty?

– Joy – wydusiła, witając się z nim. Miał ciepłą dłoń o mocnym uścisku. A może to ona osłabła. – Joy Fox. Czy mogę ci postawić coś do jedzenia, jako że zgubiłeś swój ostatni posiłek, kiedy biegłeś z bohaterską misją oddania mi portfela?

Nie wierzyła, że to powiedziała.

– Jasne – zgodził się, nie puszczając jej ręki, a wręcz ciągnąc ją za sobą. – I podwójny majonez. Ty stawiasz, tak?

Joy
Copyright © Hermia Stone

Copyright © Wydawnictwo Inanna
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover photo by Svetikd/iStock
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-271-7
epub ISBN 978-83-7995-272-4
mobi ISBN 978-83-7995-273-1

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Iga Wiśniewska
Korekta: Małgorzata Tarnowska
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Projekt okładki: Aleksandra Bartczak
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@inanna.pl
www.inanna.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



SIŁA JEJ PIĘKNA ANTOLOGIA

AUTORKI:

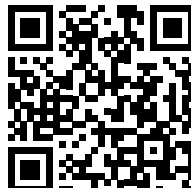
AGNIESZKA OPOLSKA
AGNIESZKA SUDOMIR
AGNIESZKA ZAKRZEWSKA
ALICJA WŁAZŁO
ANNA KARNICKA
DARIA SKIBA
MAŁGORZATA FAŁKOWSKA
MARIA ZDYBSKA

WYJĄTKOWE HISTORIE DLA WSZYSTKICH WYJĄTKOWYCH KOBIET

Osiem utalentowanych polskich autorek i jedno niełatwe zadanie. Odnalezienie siły i piękna, które tkwią w każdej z nas. Opowiadania wchodzące w skład antologii są tak różnorodne jak kobiety, które je napisały. Autorki opowiadają o zwycięstwie w zmaganiach z przeciwnościami losu i osobistymi dramatami.

Czy twoja historia jest podobna? Czy teraz uwierzysz w siebie? Czy dotrzesz do ukrytej w tobie siły? Każda z nas jest inna, piękna na swój wyjątkowy sposób!

OD KOBIET DLA KOBIET
ODNAJDŹMY W SOBIE SIŁĘ I PIĘKNO!





FAZA REM AGNIESZKA SUDOMIR

Łódź, niegdyś Ziemia Obiecana, dzisiaj miasto pogrążone we nostalgii.

W bloku na Bałutach zamordowano studentkę. Na Julianowie przed swoim domem ginie bogaty lekarz. Morderca pozostawia na miejscach zbrodni fragmenty recept. Kiedy zostaje odnaleziona trzecia ofiara, media podejmują temat „Aptekarza” i w mieście wybucha panika.

Komisarz Igor Blattner musi rozwikłać zagadkę pierwszego od wielu lat seryjnego mordercy w Łodzi. Atakowany przez media, naciskany przez przełożonych, borykający się z problemami w życiu osobistym i kryzysem wieku średniego policjant staje przed największym wyzwaniem w swojej dotychczasowej karierze.

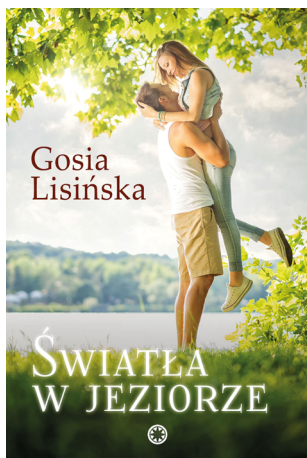
Blattner kieruje się w pracy jedną prostą zasadą. Występek nie zasługuje na wybaczenie, a wyłącznie na sprawiedliwą karę. Czy jednak to credo pomoże czy utrudni mu złapanie mordercy?

Znakomicie nakreślone miasto jako tło i Igor Blattner – komisarz z krwi i kości, który musi się zmierzyć nie tylko z Aptekarzem, ale i własnymi demonami. Książka wciąga od pierwszej strony i nie pozwala usnąć aż do ostatniej. – **Michał Chmielewski**, autor *Złe i Indygo*

PIERWSZY TOM SERII MIASTO OBIECANE



[Kup książkę](#)



ŚWIATŁA W JEZIORZE GOSIA LISIŃSKA

Gdy po dwóch latach kompletnej uczuciowej suszy, dopadnie cię klęska urodzaju, możesz mieć problem z wyborem.

Karolina jest zabawną i błyskotliwą dziewczyną, od roku zakochaną bez wzajemności w koledze z pracy. I oto któregoś dnia spotyka go nad jeziorem, a wszystko się zmienia. Że jednak świat bywa złośliwy, na drodze Karoliny staje nie tylko Kuba, ale i pewien nieprawdopodobnie seksowny Włoch...

Przezabawne perypetie miłosne i rodzinne głównej bohaterki są tematem pierwszej obyczajowej powieści Gosi Lisieńskiej z serii Miłość w Tychach.

„Światła w jeziorze” to idealne połączenie doskonałego humoru oraz seksownego romansu. Będzie gorąco, zmysłowo i zabawnie. Historia Karoliny pochłonie Was w mgnieniu oka i nie pozwoli odłożyć książki, dopóki nie poznacie zakończenia. To życiowa, ale posypana odrobiną magii powieść, która umili długie zimowe wieczory. – Meg Adams, blogerka Niegrzeczne Dziewczyny Recenzując



[Kup książkę](#)



MROK ALICJA WLAZŁO

Nadchodzi mrok i nikt się przed nim nie ukryje!

Laureen miała wszystko, czego tylko mogła zapragnąć: kochającą rodzinę, wymarzoną pracę i wspaniałą przyszłość. Miała, do chwili kiedy w jej życiu pojawił się tajemniczy Sigarr. W mgnieniu oka otaczający ją perfekcyjnie uporządkowany świat wypełnił chaos.

Potępieni i Zaprzysiężeni toczą od tysiącleci brutalną wojnę. Laureen ma w niej do odegrania kluczową rolę, ale musi stanąć do walki

o wszystko co kocha.

Czy znajdzie w sobie dość odwagi?

Przypadkowe zdarzenie pozbawia Laureen wszystkiego co kocha. Kiedy życie przestaje mieć już dla niej jakąkolwiek wartość, staje przed wyborem między śmiercią, a poświęceniem, na które nie jest gotowa. Alicja Wlazło zaprasza nas do fascynującego świata, w którym piekło i niebo to mrzonka, a toczący między sobą nieustanny bój Zaprzysiężeni i Potępieni dzielą te same, ponure tajemnice. Polubiłam tę powieść za wciągającą fabułę i dynamiczną akcję, a pokochałam za poruszającą podróż w mrok ludzkiej rozpacz, lęków i pragnień, które powoli zmieniają spokojną Laureen w bestię. – Maria Zdybska, autorka Wyspy Mgieł

PIERWSZY TOM SERII ZAPRZYSIĘŻENI





WYSPA MGIEŁ MARIA ZDYBSKA

Czasami dwie dusze łączy więź silniejsza niż śmierć.

Ona – przybrana córka pirata, uratowana z morskiej kipieli. W jej przeszłości ukryty jest klucz do potężnej mocy, która może przynieść wybawienie lub zgubę.

On – potężny mag, wyrzutek, arogant i sybaryta. Od lat poszukuje, choć sam nie wie, czego i dlaczego.

Kiedy jednak ich drogi się spotykają, przejmują nad nimi kontrolę siły potężniejsze od nich samych. Bogowie i demony, nieumarli i czarnoksiężnicy, zapomniana magia i stracone życia – droga do ich poznania zaczyna się na tajemniczej Wyspie Mgieł.

*“Wyspa Mgieł” to powieść young-adult fantasy prześlgnięta zapachem morza, pełna przygód, barwnych opisów i fantastycznych istot. Poznaj losy wyrzuconej przez morze Lirr i daj się oczarować tajemniczemu magowi o imieniu Raiden. – **Melissa Darwood**, autorka Pryncypium, Larista i Luonto*

PIERWSZY TOM SERII KRUCZE SERCE





Idź i czekaj mroźów MARTA KRAJEWSKA

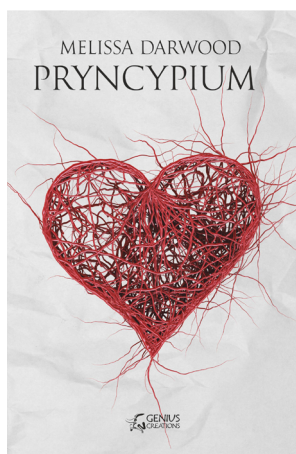
W świecie, gdzie puszcza włada leszy, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmyły i strzygonie, młodziutka Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendy wypełnia się starożytne proroctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem oplatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka. – Paweł Majka, autor Pokoju światów i Wojen Przestrzeni, dwukrotnie zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

PIERWSZY TOM OPOWIEŚCI Z WILCZEJ DOLINY
NOMINOWANY DO NAGRODY ZAJDLA





PRYNCEPIUM MELISSA DARWOOD

Jak masz na imię? – słyszymy setki razy w życiu.

Imię towarzyszy nam od narodzin aż po kres naszych dni. Czy jednak mamy świadomość, że imię może nas definiować, wpływać na to, jacy jesteśmy? Czy kierują nami impulsy ciała (Lokum), odruchy psychiki (Ipsum), czy też może tajemnicze, odwieczne Nomen – imię?

Zoltan jest potężnym członkiem starożytnej tajnej organizacji, stojącej na straży praw Pryncypium i strzegącej wiedzy o Nominach.

Aniela zaś młodą, lecz doświadczoną przez los dziewczyną, starającą się zapewnić swoim najbliższym byt i uratować rodzinne gospodarstwo. Dzieli ich wszystko: status społeczny, osobowość i wyznawane wartości. Łączy mająca tysiące lat wspólna historia. Jej najnowsza odsłona pełna jest silnych uczuć, niefortunnych decyzji i katastrofalnych pomyłek.

Co wydarzy się, kiedy połączą ich uczucia, ale rozdzielą zasady, według których żyją? Czy Aniela będzie potrafiła przyjąć trudny dar Zoltana?

To coś, z czym nie spotkaliśmy się w żadnej innej powieści. To szalony mix fantasy i romansu, zawierający pikantne sceny erotyczne. – **Martha Oakiss**,
Secret-Books.blogspot.com





NOC KOTA, DZIEŃ SOWY:
ZAMEK CIENI
MARTA KŁADŹ-KOCOT

W Castelburgu, bogatym portowym mieście, władzę przejmuje makiaweliczny Książę, a wygnani arystokraci zakładają Bractwo i z pomocą niejakiego Dionisiusa Grandiniego próbują obalić tyrana. W Emain Avalach, siedzibie magów, niepozorny bibliotekarz zostaje skazany na śmierć, a para kochanków wygnana. W odległym...

Zatrzymajmy się przy parze kochanków. Opowieści o wielkiej miłości mają zawsze wyjątkową moc. Wiedzą o tym Prządki, więc kiedy na ich oczach rodzi się taka opowieść, uważnie ją obserwują. Siądźmy więc cicho i patrzmy, jak splotą historię Mitrii i Jardala, dwojga czarodziejów, którzy pokochali się, łamiąc tym samym prastare prawo. Udaćmy się z nimi w podróż w poszukiwaniu siebie samych i siebie nawzajem.

Wyłęczcie słuch! Nocą usłyszycie stąpanie miękkich kocich łap, a w dzień prawie bezszelestne bicie sowych skrzydeł.

Najpierw pomyślałam, że to historia o miłości, a pomysł na główny wątek jest czarujący i niebanalny. Potem doszłam do wniosku, że to jednak będzie opowieść o magii i politycznej intrydze. Następnie wpadło mi do głowy, że wszystkie drogi prowadzą do pewnego miasta i będzie to historia jego przemian. Jeszcze później dotarło do mnie, że i miasto, i bohaterowie dążą do wolności. Ta powieść ma wiele poziomów, wiele znaczeń i wciąż się zmienia, wciąga i fascynuje. Z każdą odwróconą stroną zapadałam się w nią bardziej, ciekawą, czym jeszcze mnie zaskoczy. – Marta Krajewska, trzykrotnie nominowana do nagrody im. J.A. Zajdla autorka Idź i czekaj mroźów, Zaszyj oczy wilkom i Noc między Tam i Tu

